

Nasza łódka rybacka kołysząc się łagodnie żeglowała powoli, niesiona lekką bryzą na zachód, w stronę odległego wybrzeża. Spoglądałem ku zielonym wzgórzom Irlandii, próbując jak najwięcej zapamiętać, nim zrobi się ciemno. Za dwadzieścia minut miał zapaść zmierzch. Nagle usłyszeliśmy ogłuszający skowyt, rybak niespokojnie uniósł wzrok. Niespodziewanie zerwał się potężny wicher. Czarna chmura pędziła ku nam z północy, atakując zygzakami błyskawic morze, które wrzało i burzyło się tak, że niewielka łódka podskakiwała niepokojąco. Trzy towarzyszące nam wilczarze zaczęły skomlić. Szpon, Krew i Kość, zwykle nieulekłe, nawet w najlepszych okolicznościach nie przepadały za morskimi podróżami.

Kłęczałem, przytrzymując się rufy. Uszy paliły mnie z zimna, oczy piekły od morskiej piany.

Stracharz i moja przyjaciółka Alice skulili się pod okrężnicami, szukając osłony. Fale nagle urosły – nienaturalnie szybko, tak przynajmniej sądziłem. Wyglądało na to, że zaraz się wywrócimy. Gdy opadaliśmy w kolejną dolinę, znikąd pojawiła się gigantyczna fala: stroma ściana wody wznosiła się nad nami grożąc, że strzaska naszą łódeczkę w drzazgi i utopi nas wszystkich.

Jakoś jednak udało nam się przetrwać i wznieść się na jej grzbiet. Wówczas z góry runął grad – odłamki lodu, sypiące się na łódź, uderzające nas boleśnie w głowy i ciała. Kolejna błyskawica rozbłysła niemal dokładnie nad nami. Spojrzałem na skłębione czarne chmury w górze - i nagle ujrzałem dwie kule światła.

Zapatrzyłem się w nie zdumiony. Wisiały dość blisko siebie i skojarzyły mi się z oczami. A potem zobaczyłem, jak się zmieniają. To rzeczywiście były oczy – i to bardzo charakterystyczne, spoglądające z czarnej chmury. Lewe zielone, prawe niebieskie, zdawały się płonąć wrogością.

Czyżbym je sobie wyobraził? Przetarłem twarz dłonią, uznawszy, że pewnie mam zwidy. Ale nie – nadal tam były. Już miałem krzyknąć, by zwrócić uwagę Alice, lecz wówczas na moich oczach rozplynęły się i zniknęły.

Wiatr ustał równie nagle jak wcześniej się zerwał, po niecałej minucie wielkie fale zniknęły. Sztorm pozostawił po sobie nieco bardziej wzburzone morze oraz wiatr, wiejący nam w plecy i szybko niosący ku lądowi.

- Za pięć minut wysadzę was na brzeg! – zawołał rybak. – Wszystko ma swoje dobre strony, nawet sztorm.

Znów pomyślałem o oczach w chmurze. Może tylko je sobie wyobraziłem? Uznałem, że później wspomnę o nich stracharzowi, ale na razie to nienajlepszy moment.

- Dziwne, że burza pojawiła się tak nagle.

Rybak pokręcił głową.

- Ależ nie - nie zgodził się. – Na morzu widzimy najdziwniejsze rzeczy. To był zwykły szkwał. Często zjawiają się znikąd. Chociaż te fale to już coś. Zupełnie jak gigantyczny przypływ. Lecz ta stara łajba jest solidniejsza niż się wydaje. – Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. – Muszę wrócić do domu przed świtem, a teraz niesie nas całkiem porządny wiatr.

Stracharz zapłacił mu sownie, wydając niemal wszystkie pieniądze, mimo to jednak rybak bardzo ryzykował. Osiem godzin wcześniej wypłynęliśmy z wyspy Mona, zmierzając na zachód, ku Irlandii. Jako uciekinierzy z najechanego przez obce wojska Hrabstwa, wraz ze stracharzem i Alice spędziliśmy wiele niebezpiecznych miesięcy na tej wyspie. Teraz jednak mieszkańcy Mony zaczęli odsyłać do Hrabstwa wszystkich schwytych uchodźców – wprost w ręce okupantów. Organizowano dokładne poszukiwania. Uznaliśmy, że najwyższy czas ruszać w drogę.

- Mam nadzieję, że tu przyjmą nas lepiej – mruknęła ponuro Alice.

- Cóż, dziewczyno, nie będzie raczej gorzej niż ostatnim razem.

Istotnie, na Monie niemal od pierwszej chwili musieliśmy salwować się ucieczką.

- Nie powinniście mieć tu zbyt wielu kłopotów – zawołał rybak, przekrzykując zawrodozenie wiatru. – Niewielu waszych zapuściło się aż tutaj, a to wielka wyspa. Parę dodatkowych gąb do wyżywienia nikomu nie zawadzi. Możliwe też, że znajdziesz tu pracę jako stracharz. Niektórzy nazywają ją „Nawiedzoną Wyspą”. Z całą pewnością nęka ją aż nadto duchów.

Stracharze zajmują walką z Mrokiem. To niebezpieczny fach, ja rozpocząłem trzeci rok terminu u mego mistrza, Johnna Gregory’ego, który uczył mnie, jak się rozprawić z wiedźmami, boginami i najróżniejszymi stworami nadprzyrodzonymi. Duchy zazwyczaj nie zagrażały żywym i szczególnie się nimi nie przejmowaliśmy. Większość nie wiedziała nawet, że nie żyje, wystarczyło przemówić do nich jak należy, by przekonać je do odejścia w Światło.

- Nie mają tu własnych stracharzy? – spytałem.

- To wymierający fach – odparł rybak. W łodzi zapadła niezręczna cisza. – Słyszałem, że w Dublinie nie ma ani jednego, a miasto z pewnością dręczą bełkacze.

- Bełkacze? – zdziwiłem się. – Co to jest bełkacz?

Rybak zaśmiał się.

- Jesteś uczniem stracharza i nie wiesz, co to bełkacz? Wstydzilibyś się! Musisz bardziej uważać na lekcjach.

Jego uwagi nieco mnie rozdrażniły. Mój mistrz, zatopiony w myślach, wyraźnie nie słuchał rybaka. Nigdy wcześniej nie wspominał o bełkaczu i byłem pewien, że nie ma też o nim wzmianki w bestiariuszu, tkwiącym bezpiecznie w torbie mistrza. Sam napisał tę księgę: ilustrowany opis wszystkich stworów, z jakimi zetknął się i o których słyszał, wraz z instrukcjami, jak się z nimi rozprawić. Z całą pewnością o bełkaczu nie wspomniano w rozdziale o duchach. Zastanawiałem się, czy stracharz w ogóle wie, że istnieją.

- O tak – podjął rybak – nie chciałbym pracować w waszym fachu. Mimo sztormów i kaprysów, morze to znacznie bezpieczniejsze miejsce niż kryjówka bełkacza. Strzeżcie się bełkacza! Lepiej już utonąć, niż wpaść w obłąd!

Na tym rozmowa się zakończyła: rybak wysadził nas na niewielki drewnianym pomoście, wychodzącym w morze z kamienistego nabrzeża. Trzy psy natychmiast wyskoczyły z łodzi. My wygramoliliśmy się nieco wolniej. W czasie podróży zmarzliśmy i zeszywnieliśmy.

W chwilę później łódka odbiła od brzegu, a my dotarliśmy do końca pomostu i pomaszzerowaliśmy po chrzęszczących głośno kamieniach. Nasze kroki słychać było w promieniu kilku mil, przynajmniej jednak nikt nie zobaczy nas w mroku. A poza tym, jeśli rybak miał rację, nie groziło nam spotkanie z wściekłymi wyspiarzami.

Niebo zasnuły gęste chmury, było już bardzo ciemno, lecz przed sobą widzieliśmy mroczny kształt budowli, którą z początku wzięliśmy za dom. Okazała się opuszczoną szopą na łodzi i w niej właśnie spędziliśmy noc,

Świt przyniósł ze sobą lepszy dzień. Chmury odpłynęły, wiatr ustał. Choć wciąż zimny, późnolutowy ranek zwiastował nadejście wiosny.

Rybak nazwał to miejsce Nawiedzoną Wyspą, lecz miałem nadzieję, iż trafniejsza okaże się inna nazwa, „Smaragdowa Wyspa” – choć po prawdzie w Hrabstwie było równie zielono. Schodziliśmy po trawiastym zboczu, w dole widzieliśmy miasto Dublin, przycupnięte na obu brzegach wielkiej rzeki.

- Co to jest bełkacz? – spytałem stracharza.

Jak zwykle dźwigałem obie nasze torby i własną laskę. Mistrz maszerował szybko obok, tak że z Alice ledwie dotrzywaliśmy mu kroku.

- Przyznam, że nie wiem, chłopcze – obejrzał się na mnie przez ramię. – To pewnie miejscowa nazwa czegoś, co już znamy – takie wyjaśnienie wydaje mi się najprawdopodobniejsze. Na przykład to, co zwiemy boginem, w innych częściach świata znane jest pod nazwą bogie, albo nawet bogilec.

Istnieje wiele odmian boginów, począwszy od krwiożerczych rozpruwaczy, aż po względnie nieszkodliwe stukacze, które jedynie tłuką w przedmioty, strasząc ludzi. Zdumiało mnie, iż jacyś ludzie nazywają je inaczej.

Postanowiłem opowiedzieć mistrzowi o tym, co widziałem zeszłej nocy w czasie burzy.

- Pamięta pan szkwał, który nas zaatakował? – spytałem. – W ciemnych chmurach dostrzegłem coś dziwnego: parę obserwujących nas oczu.

Stracharz zatrzymał się, patrząc nam nie uważnie. Większość ludzi zareagowałaby niedowierzaniem, inni wysmialiby mnie otwarcie. Wiedziałem, że to co mówię brzmi nieprawdopodobnie, ale mistrz traktował mnie poważnie.

- Jesteś pewien, chłopcze? Groziło nam niebezpieczeństwo. Nawet rybak się bał – choć później starał się to ukryć. W takich sytuacjach umysł czasami płata nam sztuczki. W chwilach przerażenia wyobraźnia działa na najwyższych obrotach. A jeśli dostatecznie długo wpatrujesz się w chmury, zaczniesz dostrzegać w nich twarze.

- Jestem pewien, że to coś więcej niż wyobraźnia. Oczu było dwoje, jedno zielone, drugie niebieskie, i nie wyglądały przyjaźnie.

Stracharz przytaknął.

- Musimy zachować czujność. Jesteśmy w zupełnie obcym kraju – mogą się tu kryć najróżniejsze nieznane zagrożenia.

To rzekłszy znów ruszył naprzód. Zdumiało mnie, że Alice nie wtrąciła się do rozmowy; słuchała jedynie z zatroskaną miną.

Nieco ponad godzinę później w powietrzu poczuliśmy zapach ryb i wkrótce maszerowaliśmy już wąskimi ciasnymi miejskimi uliczkami, zmierzając w stronę rzeki. Mimo wczesnej godziny wokół roilo się od ludzi, przepychających się i tłoczących dokoła, z każdego skrzyżowania nagabywali nas handlarze. Spotykaliśmy też muzyków – staruszka ze skrzypcami i kilku chłopców grających na fletach. Lecz mimo zamieszania nikt nie próbował nas zatrzymać albo odmawiać nam prawa pobytu w mieście. Uznałem, że to znacznie lepszy początek niż tamten na Monie.

W mieście nie brakowało gospód, lecz większość wywiesiła w oknach tabliczki informujące, że są pełne. W końcu znaleźliśmy parę z wolnymi miejscami, lecz pierwsza okazała się dla nas za droga. Mistrzowi zostało zaledwie parę groszy, miał nadzieję opłacić za nie trzy czy cztery noclegi i w tym czasie cokolwiek zarobić. W drugiej gospodzie bez słowa wyjaśnienia odmówiono nam noclegu. Mistrz nie protestował. Niektórzy po prostu nie lubią stracharzy; boją się tego, że walczyliśmy z Mrokiem i myśli, że zło może czaić się w pobliżu.

A potem w wąskiej bocznej uliczce, sto jardów od rzeki, znaleźliśmy trzecią gospodę z wolnymi miejscami. Stracharz przyjrzał jej się z miną pełną powątpiewania.

- Nic dziwnego, że ma puste pokoje – mruknęła Alice, marszcząc urodziwą twarz. – Kto chciałby tu zamieszkać?

Pokiwałem głową, zgadzając się z nią. Frontu gospody od dawna nie odmalowano, dwa okna na piętrze i jedno na parterze zabito deskami. Nawet szyld wymagał poprawek: zwiisał na jednym gwoździu, kołysząc się niebezpiecznie przy każdym powiewie wiatru, jakby lada moment miał runąć na bruk. Gospoda nazywała się Pod Martwym Grajkiem, sfatygowany szyld przedstawiał szkielet ze skrzypcami w dłoniach.

- Cóż, trzeba nam dachu nad głową i nie możemy zbyt kaprysić – uznał stracharz. – Poszukajmy gospodarza.

Wewnątrz było ciemno i ponuro niczym w środku nocy. Częściowo sprawiały to zabite okna, ale też wysoki budynek naprzeciwko, pochylający się ku nam ponad wąską ulicą. Na kontuarze naprzeciw drzwi płonęła świeca, obok stał niewielki dzwonek. Stracharz uniósł go i zadzwonił głośno. Z początku odpowiedziała mu jedynie cisza, potem jednak na schodach usłyszeliśmy kroki, jedno z dwojga wewnętrznych drzwi otworzy się i stanął przed nami gospodarz.

Był przysadzistym mężczyzną o posępnej twarzy i długich tłustych włosach, opadających na postrzępiony kołnierz. Krzywił usta jak ktoś, kto czuje się pokonany w starciu ze światem, lecz kiedy ujrzał mego mistrza, jego kaptur, płaszcz i laskę, jego twarz odmieniła się cała.

- Stracharz! – wykrzyknął, radośnie promieniejąc. – Na mą duszę, w końcu moje modły zostały wysłuchane!

- Przyszliśmy spytać o pokoje – odparł mój mistrz. – Dobrze jednak rozumiem, że ma pan problem, z którym mógłbym pomóc?

- Jest pan stracharzem, prawda? – Gospodarz z lekkim powątpiewaniem zerknął szpiczaste trzewiki Alice.

Kobiety i dziewczyny noszące szpiczaste trzewiki często podejrzewano o to, że są czarownicami. Tak właśnie było z Alice: przez dwa pobierała lata nauki u swej matki, kościanej czarownicy Lizzie. Była moją bliską przyjaciółką i wiele razem przeszliśmy – magia Alice niejedną raz ocaliła mi życie – lecz mój mistrz zawsze obawiał się, że pewnego dnia mogłaby znów zwrócić się ku Mrokowi. Teraz zmarszczył brwi, po czym z powrotem skupił wzrok na gospodarzu.

- Owszem, jestem stracharzem, a to mój uczeń, Tom Ward. Dziewczyna ma na imię Alice – pracuje dla mnie, przepisuje księgi i wykonuje inne roboty. Proszę mi opowiedzieć, czemu potrzeba panu moich usług.

- Usiądźcie tutaj, psy zostawcie na podwórzu – mężczyzna wskazał ręką stół w kącie. – Podam wam śniadanie, a potem powiem, co trzeba zrobić.

Gdy tylko zajęliśmy miejsca, przyniósł drugą świeczkę i umieścił na środku blatu. Potem zniknął w pomieszczeniu na zapleczu i wkrótce usłyszeliśmy skwierczenie tłuszczu, a zza drzwi napłynęła fala smakowitych zapachów. Po chwili zajadaliśmy już parujący bekon, jajka i kielbaski. Gospodarz zaczekał cierpliwie aż skończymy, a potem dołączył do nas i rozpoczął opowieść.

- Nie mam w tej chwili ani jednego gościa i nie miałem od niemal sześciu miesięcy. Za bardzo się boją. Odkąd się zjawił, nikt nas nie odwiedza - toteż niestety nie mogę zapłacić pieniędzmi. Jeśli jednak się go pozbędziecie, pozwolę wam bez opłat przez tydzień zajmować trzy pokoje. Co pan na to?

- Pozbędziemy się czego? – spytał stracharz.

- Każdy, kto spotyka go po zmroku, w kilka minut popada w obłąd – poinformował gospodarz. – To bełkacz i to bardzo paskudny.

- Co to dokładnie jest bełkacz? – spytał mój mistrz.

- A nie wiecie? – zdziwił się gospodarz, na jego twarzy znów odbiło się zwątpienie.

- W Hrabstwie, z którego pochodzę, nie mamy niczego takiego – wyjaśnił stracharz. - Proszę się zatem nie spieszyć i opowiedzieć mi o nim – wówczas zorientuję się lepiej, z czym mam do czynienia.

- Bełkacz często pojawia się w ciągu tygodnia po tym, jak ktoś się zabije. Tak właśnie stało się tutaj – zaczął gospodarz. – To była pokojówka, pracowała u mnie ponad dwa lata: dobra, robotna dziewczyna i śliczna jak z obrazka. To właśnie ją zgubiło. Zwrócił na nią uwagę ktoś z wyższej sfery. Ostrzegałem ją, ale nie słuchała. Cóż, mówiąc w skrócie, ów mężczyzna złożył jej obietnice – których bynajmniej nie zamierzał dotrzymać. A nawet gdyby

mówił szczerze, nie ma mowy, by rodzina zgodziła się na ich związek. Był młodzieńcem oczekującym wielkiego spadku i musiał dbać o swoje nazwisko. Pytam zatem – czy podobna, by poślubił biedną posługaczkę bez grosza przy duszy? Mówił jej, że ją kocha. Ona z pewnością kochała jego. Lecz, co łatwo przewidzieć, wszystko źle się skończyło. Pojął za żonę damę z tytułem – ponoć małżeństwo zaaranżowano wiele miesięcy wcześniej. Cały czas okłamywał biedaczkę i kiedy się dowiedziała, pękło jej serce. Niemądra istota poderżnęła sobie gardło. Niełatwa to śmierć. Usłyszałem, jak dławi się i krztusi i pobiegłem na górę sprawdzić, co się stało. Krew była wszędzie.

- Biedna – wymamrotała Alice i wzdrygnęła się.

Skinąłem głową, starając się przegnać z głowy wizję strasznej śmierci pokojówki. Samobójstwo to ogromny błąd, nieważne jak ciężkie wydaje się życie. Lecz nieszczęsna z pewnością czuła się zdesperowana i nie miała pojęcia, co począć.

- Na deskach podłogi wciąż pozostały plamy – podjął gospodarz. – Mimo szorowania nie zdołaliśmy się ich pozbyć. Dziewczyna umierała bardzo długo. Sprowadziłem jej medyka, ale nie zdołał pomóc. Medycy są do niczego, dają słowo. Ja tam żadnemu nie wierzę. W każdym razie trafiłaby do żebraczego grobu, ale ciężko dla mnie pracowała, toteż powiedziałem, że sam zapłacę za jej pogrzeb. Nie żyła niecały tydzień, kiedy zjawił się bełkacz. Biedaczka ledwie spoczęła w grobie i...

- Jakie były pierwsze oznaki jego przybycia? – przerwał mu stracharz. – Proszę dobrze się zastanowić. To ważne.

- Słyszeliśmy dziwne stukanie w podłogę – charakterystyczny rytm: dwa szybkie uderzenia, potem trzy powolne. I znowu, raz po raz. Po paru dniach w miejscu, gdzie umarła, zaczęliśmy czuć lodowaty ziąb – dokładnie nad plamami krwi. W dzień później jeden z moich gości oszalał. Wyskoczył przez okno i połamał sobie na bruku obie nogi. Kości się zrosną, ale umysłu nie da się uzdrowić.

- Z pewnością nie spał w tamtym pokoju? Nie wątpię, iż uprzedził go pan o stukaniach i zimnie?

- Nie mieszkał w pokoju, w którym umarła dziewczyna – to była służbówka na strychu, pod samym dachem. Bełkacz nawiedza miejsce, w którym doszło do samobójstwa, toteż zakładałem, że tam pozostanie. Teraz mówią mi, że może zapuścić się wszędzie, w całym budynku.

- Dlaczego nazywają go bełkaczem? – wtrąciłem.

- Z powodu hałasu, jaki robi, chłopcze – wyjaśnił gospodarz. – Bełkocze coś nieskładnie, gada i mamrocze do siebie: nie ma w tym sensu, ale brzmi przerażająco. – Z powrotem odwrócił się do mistrza. – To co, zdoła pan się go pozbyć? Księża niczego nie zdziałali. To miasto pełne księży, ale są równie bezużyteczni jak medycy.

Stracharz zmarszczył brwi.

- Jak mówiłem, pochodzę z innego kraju – Hrabstwa leżącego za morzem, na wschodzie – wyjaśnił. - Muszę przyznać, że nigdy dotąd nie słyszałem o tym, co pan opisuje. Można by sądzić, że wieści o czymś tak dziwnym już by do nas dotarły.

- Ach, ale widzi pan, bełkacze są tu nowe. Pierwsze zaczęły się pojawiać jakiś rok temu. Są jak zaraza. Najpierw widywano je na południowym zachodzie, powoli rozprzestrzeniały się na wschód. Pierwszego zauważono w mieście tuż przed Bożym Narodzeniem. Niektórzy twierdzą, że to robota kozich magów z Kerry, bo oni zawsze maczają palce w mrocznej magii. Ale kto wie na pewno?

Niewiele słyszeliśmy o irlandzkich magach - tyle tylko, że toczą nieustające wojny z posiadaczami ziemskimi. W bestiariuszu stracharza znalazła się o nich zaledwie krótka wzmianka. Ponoć oddawali cześć Staremu Bogu imieniem Pan, w zamian za moc. Krążyły pogłoski, iż składają ofiary z ludzi. Paskudna sprawa.

- Mam rację domyślając się, że ten bełkacz ożywia się dopiero po zmroku? – spytał stracharz.

Gospodarz przytaknął.

- Cóż, w takim razie spróbujemy rozprawić się z nim dziś wieczorem. Pozwoli pan, że już wcześniej zajmujemy pokoje? Chcielibyśmy się przespać, by mieć dość sił na walkę z bełkaczem.

- Ależ proszę. Jeśli jednak nie zdołacie go przepłoszyć, spodziewam się pełnej zapłaty za każdy spędzony tu dzień. Ja sam nie zostanę tu nawet minutę po zmroku – nocuję u brata. Zatem w razie konieczności zapłacicie mi rano.

- To uczciwe postawienie sprawy. – Mistrz uściśnął mu dłoń, by dobić targu.

Większość ludzi woli trzymać się z dala od nas, lecz ten człowiek wpadł w poważne tarapaty finansowe i był wdzięczny za pomoc stracharza.

Każde z nas wybrało sobie pokój. Przespaliśmy smacznie resztę ranka i popołudnie, umawiając się w kuchni godzinę przed zmierzchem. Ja jednak nie spałem zbyt dobrze: nawiedził mnie straszliwy koszmarnik.

Byłem w lesie. Na niebie nie świecił księżyc, lecz drzewa jarzyły się niezwykłym srebrnym blaskiem. Samotny, bez broni, pełzłem na czworakach szukając czegoś, czego bardzo potrzebowałem – mojej laski. I nagle pojąłem, że bez niej będę zgubiony.

Do północy zostało zaledwie kilka minut i wiedziałem, że wówczas coś przybędzie po mnie – coś strasznego. Umysł miałem otumaniony, nie potrafiłem sobie przypomnieć, co to za stworzenie, ale wiedziałem, że przysłała go czarownica. Chciała się zemścić za coś, co jej zrobiłem.

Ale co się ze mną działo? Czemu niczego nie pamiętałem? Czyżby rzuciła już na mnie urok? Gdzieś w dali zadźwięczał złowieszczo kościelny dzwon. Sparaliżowany strachem, odliczałem każde uderzenie.

Po trzecim w panice zerwałem się z ziemi i puściłem biegiem. Gałęzie chłostały mi twarz, kolczaste krzaki drapały nogi, gdy pędziłem rozpaczliwie wśród drzew w stronę niewidocznego kościoła. Teraz coś mnie ścigało, ale nie biegło przez poszycie, nie poruszało się na dwóch nogach ani czterech. Za plecami słyszałem gorączkowy trzepot olbrzymich skrzydeł.

Obejrzałem się przez ramię i krew zamieniła mi się w wodę. Ścigała mnie gigantyczna czarna wrona i jej widok jeszcze wzmógł grozę sytuacji. To była Morrigan, Stara Bogini celtyckich czarownic, krwiożercza istota wydziobująca oczy konającym. Wiedziałem jednak, że jeśli tylko dotrę do kościoła, będę bezpieczny.

Nie miałem pojęcia dlaczego – zazwyczaj kościoły nie dają wcale schronienia przed Mrokiem. Stracharze i ich uczniowie wolą polegać na narzędziach swego fachu i dogłębnej wiedzy, dotyczącej praktycznych środków zaradczych, które można podjąć. Mimo to wiedziałem, że muszę dotrzeć do kościoła – inaczej zginę i stracę w Mroku duszę.

Potknąłem się o korzeń i runąłem na ziemię. Z trudem dźwignąłem się na kolana i spojrzałem na czarną wronę. Przysiadła na gałęzi, która zatrzeszczała i ugięła się pod jej ciężarem. Powietrze przede mną zamigotało, zamrugano gorączkowo, by przeczyścić oczy. Gdy w końcu znów zacząłem widzieć, ujrzałem straszliwy obraz.

Przedemną stała wysoka postać w zbryzganej posoką czarnej sukni, opadającej niemal ku ziemi. Od szyi w dół postać była kobieca, głowę jednak miała wronią, o okrutnych, czarnych jak koraliki oczach i olbrzymim dziobie. Na moich oczach głowa zaczęła się zmieniać. Dziób skurczył się, oczy złagodniały i urosły i wkrótce widziałem już ludzką twarz. Nagle pojąłem, że ją znam! Należała do czarownicy, która już nie żyła – celtyckiej wiedźmy, zabitej w Hrabstwie przez stracharza, Billa Arkwrighta. W owym czasie terminowałem u niego i widziałem, jak cisnął sztyletem w plecy czarownicy, a potem rzucił jej serce na

pożarcie psom, by mieć pewność, że nie powstaną z martwych. Bill traktował czarownice bez litości – znacznie ostrzej niż mój mistrz, John Gregory.

Czy jednak to naprawdę była ona? Widziałem ją wówczas z bliska i byłem pewien, że jej oczy miały tę samą barwę. I w tym momencie zrozumiałem, że nic z tego nie dzieje się naprawdę, że to tylko sen, ale z rodzaju najgorszych: żywy koszmar, w którym tkwimy uwięzieni i nie możemy uciec, nie możemy się obudzić. Ten sam sen nawiedzał mnie od miesięcy i za każdym razem wydawał się bardziej przerażający.

Czarownica szła teraz ku mnie wyciągając rękę, jej szpony lada moment miały rozdrzeć mi ciało.

Walczyłem, by się obudzić. Stoczyłem prawdziwą bitwę, nim otworzyłem oczy i poczułem, jak strach powoli ustępuje. Minęło jednak dużo czasu, nim się uspokoilem. Kompletnie rozbudzony, nie mogłem już zasnąć. Przez to nie byłem w najlepszym stanie do walki z bełkaczem – czymkolwiek się okaże.